

Druga rewolucja egipska – w kwestii legitymacji

25 sierpnia 2013

Demokrację tworzy ekspresja i aktywnie wyrażana wola rzeczywistych, żywych ludzi, nie zaś kartka wyborcza; owa prawda objawia się ze szczególną mocą, gdy ludzie ci uczestniczą w toczącej się właśnie rewolucji, zapisując karty swej własnej historii i historii własnego kraju.

Rząd Stanów Zjednoczonych, duża część zachodnich mediów mainstreamowych i obaleni Bracia Muzułmanie zdają się mówić jednym głosem: to, co miało miejsce przez ostatnie kilka dni w Egipcie, oznacza pucz wojskowy i porażkę dla rzekomej „transformacji demokratycznej” kraju.

Bez względu na to, jak różne są żywotne interesy, które każą im wszystkim zniesławiać jedną z największych fal rewolucji ludowej w historii najnowszej, tym, co ich łączy, pozostaje pogarda. Pod petycją z żądaniem odsunięcia prezydenta złożono dwadzieścia dwa miliony podpisów (to niemal 50 proc. całej dorosłej ludności kraju); to samo żądanie potwierdziło 17 milionów osób (niemal 30 proc. dorosłej ludności), wychodząc w całym kraju na ulice i uczestnicząc w największych demonstracjach w całej historii ludzkości, mimo lawiny gróźb i ostrzeżeń przed „rzeką krwi”, która miała popłynąć 30 czerwca, i nie ustępując.

Chociażby nie miało to precedensu, to i tak nie warto sobie zawracać tym głowy (Washington Post wciąż uparcie donosił o „konkurencyjnych demonstracjach” zwolenników Mursiego i „opozycji”). To przecież nie jest żadna demokracja – to armia i „państwo w państwie”. Tak potężna ślepotą nie może oznaczać nic innego niż głębokie poczucie pogardy dla tych wszystkich ludzi, którzy wyrazili swój sprzeciw.

W przypadku Braci Muzułmanów owa pogarda jest głęboko wpisana

w samą ich doktrynę, każącą widzieć w przywódcach ugrupowania (dżama'a) ostatecznych wyrazicieli woli boskiej na ziemi, którym wobec tego należy się ślepe posłuszeństwo i czołobitność ze strony „stada” – trudno się dziwić, że zrewoltowani Egipcjanie szydzili sobie z „owieczek”.

Po zachodniej stronie tego równania – mówię tu o perspektywie ideologicznej, a nie interesach klasowych – mamy do czynienia z równie głęboko ugruntowanym przeświadczeniem, że tacy ludzie jak Arabowie i muzułmanie są niezdolni domagać się owych „swobód”, które pozostają oczywistością dla „człowieka Zachodu”.

Rzecz jasna, nie ma już mowy o rasie, zamiast tego mowa o „kulturze”, i za sprawą owej nieodłącznej i niezmiennej kultury „muzułmańskiej” jedyną nadzieją dla nas wszystkich ma pozostać skarłata i zdeformowana „demokracja”, taka jaką chcieli nam zafundować Mursi i jego wataha. Bez znaczenia jest wolność ekspresji, słowa, wyznania, zgromadzeń i protestu, nie ma też znaczenia rozpasane zawłaszczanie władzy przez oligarchiczną i skrajnie autorytarną maszynę państwową Mubarak, która pozostała nietknięta, a tylko kto inny znalazł się przy korycie.

(W czerwcu br. obalony prezydent, reprezentujący Braci Muzułmanów, mianował jednym machnięciem pióra 17 nowych gubernatorów ze swego ugrupowania i innych, sprzymierzonych z nim partii. Uczynił to na trzy miesiące przed planowanymi wyborami parlamentarnymi, mając na celu ich tym skuteczniejsze sfałszowanie.)

To wszystko jednak w istocie się nie liczy, to tylko drobne przeszkody dla „transformacji”, gdyż my wszyscy – Arabowie i muzułmanie – możemy liczyć i zasługujemy jedynie na dwuprocentowy margines przy urnie wyborczej – to wystarczająca demokracja w przypadku naszej „kultury”.

Oto jeszcze jeden dowód ślepoty. Historia dowiodła, że wybuch

rewolucji ludowej w jednym kraju sprzyja wzrostowi fali rewolucyjnej gdzie indziej, dlatego też lud w Egipcie czerpał inspirację z Tunezji, a rewolucje obydwu tych krajach inspirowały lud w Libii, w Jemenie, w Bahrajnie i w Syrii. Gdy rezultatem okazuje się nieudolny, srogi i represyjny reżim islamistyczny, dla którego „demokracja” ogranicza się wyłącznie do jakoby „wolnych i uczciwych” wyborów, to rewolucja gwałtownie zatracą swą zdolność do inspirowania innych. Czy coś takiego może zainspirować Greków, albo Brazylijczyków?

Dopiero czwartego dnia drugiej rewolucji egipskiej, po nieustannych amerykańskich naciskach na rzecz utrzymania Mursiego i Braci Muzułmanów u władzy, prezydent Barack Obama nagle uświadomił sobie, że demokracja nie ogranicza się do kartki wyborczej.

Hip hip, hurra! Historia demokracji na całym świecie to faktycznie historia walki o swobody demokratyczne na ulicy, nie zaś przy urnie wyborczej. Jeśli nawet pominąć założycielskie rewolucje demokratyczne świata nowożytnego, poczynając od Cromwella i Robespierre’a aż po ojców założycieli Stanów Zjednoczonych – wobec których bliźniacze rewolucje egipskie zdają się błyszczyć „czystą legitymacją” – to na ulicach wywalczono upowszechnienie prawa wyborczego i prawa wyborcze kobiet. Związki zawodowe, które odegrały kluczową rolę w zdefiniowaniu samego pojęcia demokracji i wolności demokratycznych we współczesnym świecie, nie wyskoczyły z urny wyborczej, lecz zrodziły się i przeszły swą ewolucję w zakładach pracy i na ulicach. Podobnie doszło do redefinicji demokracji, oznaczającej wyzwolenie i zapewnienie praw kobiet, absolutnie nie ograniczających się do praw wyborczych.

Last but not least, szanowny panie Obamo, niech pan pamięta, że nie mógłby nawet pomarzyć o kandydowaniu na urząd prezydenta Stanów Zjednoczonych, gdyby nie bojkot autobusów w Montgomery, pikiety w Greensborro, marsz na Waszyngton i setki

innych wielkich i małych walk, prowadzonych z niesłychaną ofiarnością na ulicach samozwańczej „największej demokracji na świecie” przez całe morze ludzi, w tym postaciach tak pozbawione „legitymacji” jak Malcolm X, Rap Brown, Stokely Carmichael i Angela Davis.

Doszedł pan do władzy, szanowny panie Obamo, dzięki długiemu i bohaterskiemu marszowi, naznaczonemu krwią i łzami, a bohaterowie tego marszu maszerowali właśnie po ulicach. Urna wyborcza pozostaje zaś jedynie odbiciem, niemal zawsze jedynie cząstkowym i skarłałym, owych zdobyczy, które – tak, tak! – przyniosła ulica.

To zaś przywodzi nam na myśl naszego niedawnego prezydenta, szanownego pana doktora Mohammeda Mursiego we własnej osobie.

W swym ostatnim, zwyczajowo niespójnym, przemówieniu do narodu, nasz były prezydent (czyż ten przymiotnik „były”, który w ciągu tak niewielu lat postawiliśmy przed ich tytułem aż dwóm głowom państwa, nie brzmi po prostu cudownie?) powtórzył słowo „legitymacja” dosłownie kilkadziesiąt razy. Warto jednak, nasz szanowny panie były prezydencie, przypomnieć o pewnym drobiazgu. Gdy znajdował się pan w więzieniu, pański poprzednik, posiadający „legitymację” prezydent kraju, wybrany na czwartą kadencję w spektaklu, jaki pańscy amerykańscy i zachodni sojusznicy chwalili jako pierwsze wybory prezydenckie, w których startował więcej niż jeden kandydat, został w „bezprawny” sposób zdjęty z urzędu. (Nie obowiązywał wówczas żaden taki zapis Konstytucji Egiptu, który pozwalałby prezydentowi scedować swą władzę na rzecz ciała zwanego Najwyższą Radą Wojskową.)

Nie wiemy tego, jak naprawdę wyglądała pańska ucieczka z więzienia, tego czy wydostały pana stamtąd brygady pańskiego ugrupowania, czy też – jak sugerowano w ostatnich miesiącach – uczyniła to przysłana specjalnie w tym celu brygada bojowników Hamasu. I doprawdy o to nie dbam. Mursi i inni przywódcy Braci Muzułmanów byli więźniami politycznymi, a w czasie rewolucji

uwalnianie więźniów politycznych jest właściwe i słuszne, choćby miało być „bezprawne”.

Idzie o to, że poczynając od wybuchu rewolucji kolejne władze Egiptu, bez wyjątku uzurpatorskie, arbitralnie i wedle własnego widzimisię żonglowały „legitymacją rewolucyjną”, jak i formalną legitymacją prawną wynikającą z zapisów konstytucji i prawa państwowego – i to zawsze dokładnie tak, jakby chciały zapewnić sobie jak najszybszy koniec. Dokładnie tak wciąż postępowała Najwyższa Rada Wojskowa, podobnie jak Bracia Muzułmanie.

Bijącym po oczach przykładem największego rozpasania pozostaje to, jak „wybrany” prezydent wytarł sobie gębę konstytucją, prawem i normami demokratycznymi, wydając w listopadzie 2012 r. Deklarację Konstytucyjną. Uniemożliwiła ona rewizję jego decyzji przez władze sądownicze, jak też zapewniła nietykalność Radzie Konsultacyjnej (której jedna trzecia członków została mianowana przez prezydenta, a pozostałe dwie trzecie zostało wybrane przez liche 7 proc. elektoratu). Owa parodia parlamentu otrzymała za sprawą tego dekretu pełnię władzy ustawodawczej. Wreszcie, ów akt oznaczał zapewnienie nietykalności Zgromadzeniu Konstytucyjnemu, które zamieniono w zamknięty klub Braci Muzułmanów oraz ich salafickich i dżihadzkich sojuszników. Obie te instytucje oczekiwały na rychłe orzeczenie ich niekonstytucyjności przez egipski Najwyższy Sąd Konstytucyjny.

Co zaś pozwalało Mursiemu usprawiedliwić takie drakońskie poczynania, wyraźnie mające na celu utrzymanie kontroli nad krajem przez Braci Muzułmanów aż do dnia, gdy ludzkość spotka się ze Stwórcą? „Legitymacja rewolucyjna”! Ach, szanowny panie były prezydencie, dokładnie to sprawiło, że strzelił pan sobie w kostkę, tym bardziej, że od początku pozostawał pan uzurpatorem, zaś ludzie, którzy pana obalili, czerpali swą legitymację rewolucyjną z prawdziwej, żywej rewolucji. To legitymacja, która nie posiada precedensu historycznego, a świadczą o tym 22 miliony podpisów pod petycją na rzecz

pańskiego ustąpienia, i miliony ludzi, którzy wyszli na ulice.

Autor: Hani Szukrallah

Tłumaczenie: Paweł Michał Bartolik

Źródło oryginalne: Al-Ahram Englis, SocialistWorker.org

Źródło polskie: [Internacjonalista](#)